

DLIRKO

RADOSŁAW MALIK



Radosław Malik

DLIRKO

BookEdit

[Kup książkę](#)

Copyright © Radosław Malik, 2025

Projekt okładki: Weronika Wojtaszewska

Ilustracja na okładce i mapa: © Weronika Wojtaszewska

Redakcja: Anna Kielan

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68432-14-5

Wydawca

BookEdit

512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEdit/

instagram.com/BookEdit/

[Kup książkę](#)

Nibracja

Wobec górującej nad nami Natury i okiełznanych przez nas jej
plonów oraz zgodnie ze świadomą wolą naszych ludów
deklarujemy:

Ja, Gravel, wódz Nibracji,
Ja, Est, władca wysp Akhmermerskich,
całkowitą zgodność wizji świata pełnego dobrobytu i uczciwości.
Wspólnie będziemy dążyć do obustronnych korzyści handlowych,
w poszanowaniu naszych umów, zawartych w przeszłości.
Niech żyje Nibracja,
niech żyje wspólnota Wysp Akhmermerskich.



Varbaria, tydzień później

Naokoło drzewa głową pionowo w dół zmierzała do upatrzonego celu. To dynamicznie ruszyła, to nerwowo się rozglądała. Im bliżej ściółki, tym wykazywała większe skupienie. To ten moment, ruszyła. Ale co to? Ktoś się zbliżał. Chwyciła więc w ząbki zdobycz i w mgnieniu oka zniknęła w koronie drzewa. Spoglądała zza liści.

W bezruchu jest niewidoczna, ale ona widzi świat dookoła. Na ścieżce w oddali ujrzała wędrowców. Wyglądali niegroźnie, w zielonych strojach i takich samych zielonych płaszczach szli gęsiego, krok po kroku.

– Twoja kolej, mnie już bolą ręce – padło z ust jednego z mężczyzn. – Wlokę go już od godziny.

Wyraźnie najmłodszy piechur schylił pokornie głowę i podszedł, by przejąć bagaż. Teraz on ciągnął wypełniony po brzegi drewniany wózek, okryty zielonym bawełnianym materiałem.

– Nie maź się, Skopke. Niewiele drogi zostało. – Mężczyzna idący na przedzie i przyglądający się sytuacji postanowił pocieszyć młodego. – Na miejscu odpoczniesz – dodał.

Trzech piechurów szło nieprzerwanie drogą pośród iglastego lasu. Zmierzali znanym od pokoleń szlakiem, który wyznaczały gęsto ustawione głązy.

Z orzechem w ryjku wynurzyła się spod gałęzi. By nabrać rozpędu pokonała całą gałąź. Hop. Pazurki wbiła w miękką korę i niespostrzeżenie znalazła się na sąsiednim drzewie. Stąd dalej podglądała podróźnych.

Na pagórku opodal widać było płot, a za nim jabłonie. Regularnie rosnące drzewa obfitowały w duże, czerwone, połyskujące w świetle słońca owoce. Skopke wyraźnie się ucieszył. Ciężący mu bagaż jakby stracił na wadze, a on sam przyśpieszył.

– Spokojnie, gdzie się tak rwiesz? – rzekł najstarszy w grupie Bande. Próbował stonować emocje.

– Varbariańskie jabłka – zawołał młodzieniec głośno i ruszył przodem do upatrzonego celu. Wyciągnął rękę i zerwał najniżej wiszące owoce. Po chwili pod drzewem stali wszyscy trzej.

– Zerwij kilka sztuk, to będziemy mieli na potem – rzucił dowodzący Bande i spojrzał na drugiego asystenta. – Za tymi wzgórzami, Ravanie, rozciągają się tereny Varbarii – wyjaśnił. – Przed zachodem słońca będziemy na miejscu. Możemy na chwilę przystanąć i przygotować się do spotkania. Chciałbym przejrzeć dokumenty. Wyjmij je, proszę.

Ravan chwycił płaszcz, odchylił go i z wewnętrznej kieszeni wysunął niewielką zieloną teczkę.

– Dobrze, jest tu też mapa, spójrzmy – powiedział Bande. Jednocześnie przysunął palec wskazujący do rozrysowanego, naniesionego na papier terenu. – To jest to miejsce, pierwszy sad – kontynuował. – Musimy kierować się tędy, główną drogą na mostek, wieża na zachodniej granicy Varbarii, znów mostek i później prosto do ratusza.

Spoglądający zza ramienia dowódcy Ravan przysunął dłoń do mapy.

– Wcześniej, gdy pracowałem w wymianie korespondencji – rzekł – poznałem kilku gości z innych osad. Z Varbarii też. Z jednym znalazłem wspólny język. Mawiał, że mieszka blisko mostka. To musi być ten, będziemy przechodzili tamtędy.



Bande uważnie wysłuchał Ravana i szybko zrozumiał sugestię.

– Nie zatrzymamy się tam – zaczął. – Nie zapominaj, że masz do wypełnienia ważną misję dyplomatyczną, a te papiery, które niesiesz, są bardzo istotne dla relacji między naszymi miastami. – Wzrokiem wskazał dokumenty, po czym po sprawdzeniu ich stanu oddał je Ravanowi, który chwycił papiery, zapakował do teczki i ukrył.

– Wiem – powiedział. – Chodzi mi o krótką wizytę, przywitanie się, pozdrowienie, wiesz.

Tymczasem, zając się jabłkami, najmłodszy Skopke niezbyt uważnie słuchał rozmowy współtowarzyszy. Jednocześnie, według zaleceń dowódcy, zbierał owoce do skrzyni. Nagle coś zwróciło jego uwagę. Szelest liści na sąsiednim drzewie i poruszająca się gałąź sprawiły, że przerwał na chwilę. Spojrzał w górę. Zauważył rudą kite przemieszczającą się między drzewami. Choć już była niewidoczna dla oka, Skopke wskazał ją gestem ręki. Chciał rzec, co widzi, jednak gdy zauważył, że współtowarzysze zajęci są negocjacjami, zrezygnował i kontynuował zbieranie.

– Dobrze już – powiedział Bande i machnął ręką. – Pamiętaj, że odpowiadasz za listy i dokumenty – kontynuował. – Musisz się pilnować i nie możesz się spóźnić. My ze Skopke poczekamy gdzieś przy drodze. Podreperuję w tym czasie nasz wózek, może lżej będzie go ciągnąć.

Skopke kiwnął głową. Uradowany Ravan poklepał płaszcz i zapewnił o tym, że u niego teczka jest bezpieczna.

– Zapomniałem ci powiedzieć, jakie pyszne brzoskwinie rosną w sadzie u mojego kolegi. Często przynosił je, gdy wymienialiśmy się listami – rzekł Ravan.

– Wieki ich nie jadłem, weź. – Tym razem Bande wyraźnie się uśmiechnął.

Ruszyli. Minęli jabłonie z czerwonymi jabłkami, dalej zaś rosły drzewa z zielonymi owocami.

Najmłodszy Skopke zerknął na bagaż, który przyszło mu ciągnąć. Sapnął głośno, kiedy towarzysze dorzucili owoce i jego ciężar wzrósł. Z lewej strony pojawiło się rozgałęzienie drogi. Idący na czele Bande zmarszczył czoło i zerknął na alternatywną ścieżkę, jednak jego wątpliwość, którą drogę wybrać, szybko została rozwiana. Na wprost nich ścieżkę przecinała rzeczka. Mocno porośnięte brzegi długo ukrywały jej istnienie, z każdym jednak krokiem piechurzy widzieli ją coraz wyraźniej. Trakt po obu brzegach łączył most. Wędrowcy weszli na niego ze schylonymi głowami i zauważyli wyryte tam symbole.

– Drzewo owocowe – znak Varbarii, piękne dzieło – rzekł Bande.
– Gładkie w dotyku, dobrze zakonserwowane. Nasi czeladnicy nie powstydziliby się takiej roboty.

Skopke bez trudu pokierował wozem, wjeżdżając ponownie na grunt.

Po drugiej stronie rzeki tuż przy mostku rósł dąb. Jego rozłożyste gałęzie jeszcze potęgowały jego wielkość. Gdy trzech wędrowców stawiało pierwsze kroki po wschodniej stronie koryta rzeki, jedna z łodyg wyraźnie się zakołysała. Szelest przenosił się na pień. Bande przystanął, pozostali również się zatrzymali. Charakterystyczny dźwięk ustał, lecz po korze ruchem okrężnym w górę coś biegło.

– Patrzcie teraz! – krzyknął Skopke. – Już wcześniej to widziałem. Jednogłośnie stwierdzili, że to wiewiórka.

Zwierzę wbiegło w kłębowisko liści. Piechurzy stracili je z oczu.

– Tak, w Varbarii zobaczymy więcej żywych stworzeń niż w innych miejscach na wyspie – rzekł Bande. – Choć u nas, w Nibracji, na szczęście, nie możemy narzekać na ich brak. – Podszedł do wózka i z bocznej kieszonki wyciągnął książeczkę. – Spójrzcie – kontynuował. – Katalog varbariańskiej flory i fauny jeszcze z czasów Wielkiej Koalicji Plemion. Miasta wtedy wspólnie prowadziły badania na całej wyspie. Po burzliwych czasach zaniechano tego.



Ravan przechwycił atlas i otworzył na opisie zwierząt. Wyszukał widziane przed chwilą stworzenie.

– Jest! – Ravan stuknął palcem w rysunek i przeczytał. – „*Sciurus vulgaris* zamieszkuje korony drzew oraz dziuple”. – Przekartkował kolejne strony. – Faktycznie sporo wiedzy. Przydatna rzecz.

– Mówiłem, że warto zaglądać do książek – stwierdził Bande. – Po powrocie zajdź do biblioteki. Znajdziesz tam katalog o naszych, nibracjańskich zasobach. – Dowodzący wyteżył wzrok. – Dobrze. Nie możemy tak tu beczynnie stać – mówił. – Na przyjemności przyjdzie czas po wykonanym obowiązku. Teren się wnosi. Daleko do twojego kolegi, Ravanie?

Młodzieniec wzruszył bezradnie ramionami.

Widok z korony drzewa był zgoła lepszy. Z orzechem w pyszczku wiewiórka miała okolicę jak na dłoni. W oddali na szczycie niewielkiego wzniesienia rozpościerał się sad. Jego drzewa były niskie, a matowe ciemnopomarańczowe owoce dyndały na bujnie porośniętych długimi liśćmi gałęziach. W głębi stała oparta o drzewo drabina. Obok przy kilku pełnych koszach ktoś leżał. Wiewiórka zeskoczyła z dębu i niepostrzeżenie, w bezpiecznej odległości od ścieżki, popędziła pod górkę ku upatrzonemu celowi.

Zwierzątko zanurzyło się w gąszcz oddzielający sad od drogi, gdzie między kępami traw, krzakami wartko kroczyło.

Mężczyzna przy drabinie spał. Rude stworzenie wskoczyło na drzewo obok. Z gałęzi wycelowało orzechem i trafiło prosto w twarz śpiącego. Leżący zerwał się na równe nogi. Jeszcze nieświadomy, lecz już zły.

W tym czasie „zieloni” piechurzy sunęli spowalniani przez kołowy bagaż. Skopke z Ravanem trzymali rączkę wózka. Po pokonaniu najbardziej stromego odcinka dostrzegli zmieniający się krajobraz.

– To powinno być to miejsce – odezwał się Ravan. – Sad brzośkwiniowy, tak jak opowiadał Durko.

- Nazywa się Durko? – zastanowił się głośno Bande.
- Znasz go?
- Brzmi znajomo – odparł dowodzący. – Może coś mi się pomyliło.

Na równym gruncie podróżni ruszyli żwawiej. W oddali, wzdłuż ścieżki po prawej stronie, dostrzegli płot.

– Naprzeciw tego kamienia widzę furtkę do sadu – rzekł Ravan podekscytowanym tonem.

Rozróżnione gałęzie drzewek owocowych zachęcająco bujały się na boki, wystając na drogi. Skopke bez zastanowienia wyciągnął rękę po obfitych rozmiarów owoc.

Tymczasem przebudzony mężczyzna usłyszał odgłosy ze ścieżki. Spojrzał na ziemię, sięgnął po opartą o pień kuszę i podniósł leżący pomiędzy koszami kołczan bełtów. Wybrał jeden z „pocisków” i precyzyjnie umieścił na broni. Podeszedł bliżej źródła hałasów, kamuflując się za drzewami. Wymierzył w kierunku wędrowców.

W ułamku sekundy wystrzelony z dala pocisk rozsadził soczystą brzoskwinię. Piechurzy zamarli. Bande czujnie się rozejrzał i nakazał grupie schować się za wielkim głazem.

- Szybko, za głaz! – zawołał.

Wszyscy trzej zbiegli ze ścieżki.

Wiewiórka zeskoczyła z drzewa. Zabrała z powrotem orzech i dogoniła mężczyznę z kuszą. Teraz kroczyła równo z nim. Jego potężnych rozmiarów dłoń dobyła drugi bełt. Przygotowywał się do kolejnego strzału.

Tymczasem zaskoczeni niespodziewanym atakiem wędrowcy nerwowo spoglądali dookoła. Skopke zamierzał wyrzucić zza głazu.

– Schyl głowę! – szeptem, lecz stanowczo, nakazał Bande. Dwódca zbierał myśli. – Panowie, idziemy z misją dyplomatyczną – rzekł po chwili. – Musimy wykonać zadanie. Nikt świadomy naszego statusu, by nas nie zaatakował. – Zamyślił się.



– Chyba że to zwykli złoczyńcy – wtrącił Skopke.

– Co prawda, ostatnie wydarzenia w Varbarii mogły sprowokować takie sytuacje, jednak... – nie dokończył Bande.

– Żadni złoczyńcy – wtrącił Ravan. – Podróżowałem jako kurier do Źródłka na środku wyspy, nic złego nigdy mnie nie spotkało.

– Na pewno to tylko nieporozumienie – rzekł Bande. – Naruszyliśmy czyjąś prywatność i ten ktoś broni swoich zbiorów.

Bande napotkał wzrok Ravana. W tym samym momencie wypowiedzieli jedno słowo:

– Durko!

– Może to on? Pokażę mu się – zdecydował Ravan. Powoli się prostował.

– Nie! – zabronił Bande. – Nie jesteśmy tego pewni. Możemy jednak przypuszczać, że to on lub ktoś, kto go zna.

Zbliżający się mężczyzna był już kilka metrów od ścieżki. Ciężkie kroki stąpały po gęstej trawie. W prawej ręce dzierżył nabitą kuszę. Drogę blokował mu płotek, skoczył. Ziemia zadrżała, a on znalazł się na głównej drodze. Szedł w kierunku czterokołowego pojazdu. Za nim biegła ona. Główna sprawczyni zamieszania z orzechem w pyszczku, przeskakiwała z nóżki na nóżkę. Przecisnęła się między szczeblami i doskoczyła do butów mężczyzny. Przystanęła. Przygotowała się do biegu.

Zdezorientowany pozostawionym wózkiem jegomość rozejrzał się po ścieżce. Ani z tyłu, ani z przodu nie dostrzegł żywego ducha. Zwężając powieki, nakierował kuszę na głaz. Wolnym krokiem ruszył, zachodząc z prawej strony. Dźwięk jego kroków przyprawiał piechurów o kołatanie serca.

– Ma broń dalekiego zasięgu – powiedział Bande. – Czekamy.

Ruda zwierzyna skoczyła susem na kamień i hop w bok. Oparty plecami o głaz Ravan zerknął w lewo. Ujrzał ją i szturchnął towarzyszy. Zaskoczeni widokiem stojącej i wpatrującej się w nich bez

strachu wiewiórki, nie zauważyli wyłaniającej się z drugiej strony olbrzymiej postaci. Byli otoczeni.

Trzech piechurów, stłoczonych w jednym miejscu, kucało za przydrożnym głazem, a obok nich stał olbrzymi mężczyzna z wycelowaną kuszą oraz wiewiórka z orzechem w ząbkach. Obie strony wyczekiwały. Bez reakcji.

Skopke głośno przełknął ślinę. Surowa owalna twarz olbrzyma gwarantowała porażkę, a penetrujący wzrok zwierzątka budził niepokój. Napięcie rośnie.

W końcu olbrzym nie wytrzymał. Kąciki jego ust odpuściły i przywołał uśmiech na twarz, a po chwili rozbrzmiał jego śmiech. Rudy zwierzak podskoczył i wdrapał się po długich nogach mężczyzny na jego ramię. Olbrzym opuścił broń, jednocześnie zbliżył się do gości z wyciągniętą dłonią.

Bande i współtowarzysze z każdą chwilą pewniej spoglądali na zbliżającą się postać. W końcu otrzepali się z kurzu i wstali.

– Witajcie, Nibracjanie – przyjaźnie rzekł olbrzym. Przy czym uściśnął mocno dłoń Bande. Następnie bolesnego uścisku doświadczyli również Ravan i Skopke. – Ten pocisk... ja tylko... – jęknął się tęgi przybysz. – Jednocześnie rozciągał kciukiem jedną z szelek. – Myślałem, że to intruzi. Zapuszczają się tu po nasze skarby. – Ręką wskazał na sad brzoskwiniowy. – Jesteście gośćmi Varbarii – kontynuował. – Idziecie z ważną misją. Każdy to wie, przekonacie się. Tymczasem częstujcie się brzoskwiniami do woli. – Olbrzym skierował się do drewnianego wozu Nibracjan. Uniósł go lekko, opierając na jednym kole, drugie zaś wprowadził w obrót.

Wiewiórka zeskoczyła na kant wózka, po czym odbijając się od niego, znalazła się na ziemi. Pobiegła do najbliższego drzewa i wskoczyła na gałąź i w mig zniknęła w gąszczu liści. Odprowadzona wzrokiem wędrowców już niewidoczna, z ukrycia doglądała spotkania.



– Koło trze, zapewne trudno wam jechać, nieprawdaż? – powiedział olbrzym.

Nieodzywający się dotychczas Nibracjanie tym razem zostali postawieni w sytuacji wymagającej odpowiedzi. Stali blisko siebie i spoglądali porozumiewawczo na siebie. Bande nabrał powietrza, ale zanim zdążył się odezwać, wyrwał się Ravan.

– Koło reperowaliśmy, ale trzeba jeszcze natłuszczyć – rzekł i za-
pytał: – Zna pan Durko?

Olbrzym przestał zajmować się wozem i obrócił do gości.

– Durko? – rzekł. – Jasne, to mój bratanek. Nie przedstawiłem się. Jestem Drabad.

Tymczasem ze szczytu drzewa, niczym ptak, wiewiórka rzuciła wzrokiem ku dołowi. Bacznie śledziła bieg zdarzeń, po chwili „zieloni” ruszyli prowadzeni przez gospodarza. Po wymianie zdań dwóch z nich odeszło, jeden zaś wszedł z sadownikiem na teren gospodarstwa. Następnie zwierzę zwróciło czarne oczka w głąb sadu. Tam, wśród drzew owocowych, stała chata. Co to? Koło niej poruszało się kilka postaci. Ruszyła jak wystrzelona z procy. Z orzechem w pyszczku.

II



łówny plac Varbarii zbudowano na podstawie kwadratu. Otoczony ceglanymi gmachami wyróżniał się na tle drewnianej niskiej zabudowy miasta. Najważniejszy, a zarazem najwyższy budynek – ratusz, posiadał po obu bokach dwie strzeliste wieże. Jego konstrukcja wzmocniona była kamiennym szkieletem. Do półkolistych wrót wejściowych prowadziły kilkunastostopniowe schody. Na ich najwyższym stopniu stał komitet powitalny – burmistrz i jego asystenci, zaś na placu gromadzili się tłumnie mieszkańcy.

– Popraw marynarkę. – Burmistrz Vabrot ganił młodego asystenta. – I pamiętaj, żeby odebrać bagaż i zanieść go do magazynku.

– Wiem, panie burmistrzu – odpowiedział młodzieniec i naciągnął górną część ubioru.

– Co mówisz? – zapytał burmistrz, nieprzerwanie spoglądając do niewielkiego notesu. – Przez ten szmer nic nie słyszę, trzeba coś z tym zrobić, gdy już przybędą goście. Zrozumiano?

Plac wypełniał się coraz bardziej schodzącymi zewsząd Varbarianami. Wśród dorosłych toczyły się żywe dysputy. Dzieci zaś, wyposażone w zielone oraz czerwono-zielone flagi, radośnie nimi wymachiwały.

– Podejdz no, Smat. – Burmistrz Vabrot ponownie zwrócił się do asystenta. – Czy nie mówiłem, że chorągwie na słupach oświetleniowych miały być wywieszone na przemian. Pod budynkiem akademii panuje totalny chaos.



Smat spojrział za placem na wskazane miejsce i się skrzywił.

– Niewiele brakuje – powiedział młody urzędnik.

– Ja ci zaraz pokażę! – grzmiał burmistrz Vabrot podniesionym głosem. – Cały się zaczerwienił. – Niech no przewodniczący Matan to zobaczy albo jego żona. Nie ty wtedy będziesz się tłumaczył.

Smat spuścił wzrok, stawiając krok do tyłu.

– Wszystkiego muszę pilnować sam – dodał burmistrz Vabrot. Jego drżące dłonie przekartkowały notes. – Muszę sprawdzić w takim razie cały plan od początku – rzekł.

Podczas gdy burmistrz przekopywał notes w poszukiwaniu informacji, Smat zaczerpnął duży haust powietrza i powoli go wypuszczał. Zmrużył oczy. Wychodzące zza chmur słońce go oślepiło.

Z minuty na minutę tłum na placu był coraz liczniejszy.

III



rzech nie ciążył, był jej naturalną częścią. Hop i hop – skakała tak między drzewami owocowymi, niepostrzeżenie pokonywała kolejne metry. Gdy zaś postanowiła przystanąć, robiła to obok pnia. Niuchała wtedy z uniesionym pyszczkiem. Upewniwszy się, że nie ma zagrożenia, ruszała dalej. Cel był tuż-tuż. Stożek dachu przebijał się ponad gałęzie. Azymut obrany.

Tymczasem Drabad z Ravanem szli jeden za drugim wydeptaną ścieżką. Brzoskwinie wokół wyrastały regularnie. Rzędy drzewek zdawały się być takie same. Olbrzym musiał kierować gością, gdy ten tracił orientację. Co rusz mijali wypełnione owocami kosze. Mimo to wokoło gałęzie ugiwały się pod ciężarem owoców.

– Urodzaj w tym roku – skomentował Drabad.

Twarz młodego Nibracjanina zdradzała intensywne, pełne pozytywnych odczuć emocje. Nieustannie spoglądał na boki, potykając się przy tym o kępy trawy. Po jakimś czasie wyłonił się drewniany dom.

Kilkanaście metrów dalej wiewiórka śpieszyła ile sił w łapkach. Nadbiegła od frontu na duży trawiasty plac. Ominęła stół i pocięte deski i w otoczeniu wiórów zatrzymała się przy studni. Osobnicy, których widziała wcześniej, zniknęli. Uniosła pyszczek, wyęzając ponownie nozdrza. Kilkukrotny wdech miał dać odpowiedź. Ruszyła wzdłuż wejścia, okrążając chatę.

– Jesteśmy – rzekł niedługo potem Drabad. Gestem obu rąk prezentował swoje gospodarstwo. – Z racji położenia kiedyś często



gościliśmy przybyszów kierujących się do Varbarii – kontynuował. Jednocześnie uniósł piłę leżącą na stole, otarł ją z kurzu i resztek drewna. – Dzisiaj jest inaczej.

– Na szczęście panuje pokój – powiedział Ravan.

– W tym rzecz, młody Nibracjanie – odparł Drabad. – O pokoju opowiadał mi dziad. Rzeczywiście funkcjonowaliśmy razem, cztery miasta na wyspie w zgodzie, na sprawiedliwych zasadach. Teraz liczy się interes. – Łagodny dotąd ton olbrzymiego sadownika przybrał mocniejszy charakter. – Podaż rośnie, a sprzedaż stoi – kontynuował. – Wszystko zachowałoby przynajmniej status quo, gdyby nie próby wyłamania się z gospodarki wyspiarskiej pewnych grup. Ale ja przecież nie powinienem tego wiedzieć.

Słuchając gospodarza, Ravan butem formował górkę z nagromadzonych wiórów na ziemi.

– Ech, nieważne – głośno westchnął olbrzym. – Durko powinien tu być. W tym miejscu ciął deski.

– Muszę przyznać, że wasze drewno jest wysokiej jakości – rzekł Ravan.

– Co? Ach tak – ocknął się Drabad. – Jednak importujemy wasze. Jest najlepsze. Za to wy kupujecie nasze owoce i warzywa i handel kwitnie.

– I będzie kwitł! – Ravan podniósł głos. Jednocześnie odstłonił poły płaszcza. – Nowe umowy handlowe to szansa... – nie dokończył.

Drabad rozszerzył oczy, patrząc to na Nibracjanina, to na zieloną tęczkę.

– Chcesz powiedzieć, że masz nowe umowy? – zapytał Drabad. Postawił zdecydowany krok w stronę Ravana.

IV



zmer rozmów towarzyszący rosnącemu zgromadzeniu przybierał na sile.

Tymczasem na szczycie schodów burmistrz Vabrot analizował swoje zapiski, gdy coś zwróciło jego uwagę.

– Chwila – rzekł do asystentów. – Nibracjanie ubierają się na zielono, czyż nie? To chyba oni.

Trójosobowy komitet powitalny wpatrywał się w tłum Varbarian.

– Nie sądzę – powiedział jeden z młodych asystentów.

Burmistrz skierował na niego wzrok z gniewnym grymasem.

– Ty, Smat, nie sądzisz! – rzekł. – Co za tupet! Faktycznie, to nie oni. Ale spójrz na tych ludzi u dołu. Stoją wszędzie! Niechże zjedzą z drogi, to znaczy, niech utworzą alejkę na środku placu. Goście z Nibracji mają czuć się wyjątkowo.

– Tak jest – odpowiedział Smat.

Młody urzędnik natychmiast wyskoczył z szeregu oficjeli i podchodząc do zbiorowiska, wymachiwał to w lewo, to w prawo, nakazując przemieszczać się mieszkańcom według wizji burmistrza. Po chwili dało się zauważyć namiastkę oczekiwanego przejścia.

Burmistrz Vabrot śledził poczynania asystenta. Stojąc plecami do ratusza, obserwował cały plac. Poniżej zasłoniętego przez ciemne chmury słońca, a nad głowami varbariańskiego ludu podziwiał uroczyście wystrojony falującymi chorągwiami budynek Akademii Varbariańskiej. Obracając się w lewo jego oczom ukazywały się ubarwione czerwonymi



i zielonymi wstęgami kolumny Biblioteki Głównej. Po prawej zaś, wśród drewnianych karczm i sklepików, górował budynek hotelu, udekorowany licznymi varbariańskimi oraz nibracjańskimi flagami.

Nagle zapanowała cisza. Wszystkie głowy kierowały się w stronę drogi zachodniej. Również burmistrz wyteżył wzrok i wyciągał szyję. Z ulicy pomiędzy gmachem Akademii Varbariańskiej a budynkiem szkoły wyłonił się drewniany wóz.

– To oni i ich nibracjański pojazd – krzyknął ktoś na widok wozu pchanego przez ubranego w kombinezon wątlej postury mężczyznę.

Coraz liczniejsze grono Varbarian zaczęło wznosić powitalne okrzyki. Konkurencyjne grupy zaś szybko sprowadziły ich na ziemię.

– Cicho, głupcy! – zawołał siwowłoso, wysoki mężczyzna w ogrodnickach. – Przecież to Jan, sadownik z górnej Varbarii.

Ze zbudowanego z wąsko ułożonych desek wózka wystawały narzędzia oraz drabina. Burmistrz Vabrot wraz z tłumem mieszkańców śledził ruch przemieszczającego się mężczyzny. Mijając szkołę, sadownik uniósł na moment wzrok ku licznie zgromadzonym Varbarianom, po czym patrząc pod nogi, kontynuował podróż drogą północną i wzdłuż lewego skrzydła hotelu zniknął z oczu obserwatorów.

Burmistrz Vabrot potrząsnął głową, po czym sięgnął pod marynarkę. Wyciągnął schowany tam uprzednio notes. Przekartkował go, zatrzymując się na stronie z opisem „Potrawy”. Palcem śledził wypunktowaną treść. Przy jednym z elementów nagle się zatrzymał. Wciągnął powietrze nosem i zmarszczył brwi.

– Jak to się mogło stać? – zagrzmiał burmistrz Vabrot. – Nie mam odhaczonej dostawy brzoskwiń. Brzoskwinie – nasze dobrodzieństwo, nawet w herbie mamy ich drzewo. Wezwać kucharza!

Jeden z asystentów biegiem wkroczył do ratusza. Tymczasem Vabrot próbował się uspokoić. Poczerwieniała twarz zdradzała jego emocje. Chwilę potem przed jego obliczem stanął mężczyzna w białym kitlu.

– Proszę raport o stanie przygotowań do kolacji – rzekł burmistrz.
– To znaczy... – zająkał się kucharz. Przerzucił wzrok na tłum na placu. – Dania w większości są gotowe, stół zastawiony – dodał.
– A deser, tradycyjna przystawka, unikatowe na wyspie danie, nasza chluba – brzoskwinie? – W szybkim tempie wypowiedział pytanie Vabrot.

– Mogę zapewnić, że zamówienie zgłoszono – odpowiedział kucharz. – Jako szef kuchni odpowiadam za zamówienia i przygotowanie posiłków. Brzoskwiniami jeszcze się nie zajmowałem.

Burmistrz Vabrot wypuścił powietrze i próbował przywrócić stabilny oddech.

– Bo ich nie ma! – wyrzucił z siebie. Obrócił się do swoich asystentów. – Smat czy Imas, który z was odpowiada za zaopatrzenie?

– To jest tak, panie burmistrzu – rozpoczął Imas. – Raz na dwa tygodnie robimy listę zapotrzebowania. Przed tygodniem cały zapas brzoskwiń przekazano na uświetnienie wizyty Cusitów. W wyjątkowych sytuacjach, takich jak ta dzisiejsza, zgłasza się to dostawcy i ten realizuje zlecenie.

– A zgłosiliście? – zapytał burmistrz.

– Jak najbardziej, panie burmistrzu – odparł Imas. – Dostarczając prowiant do wieży zachodniej, jeden z młodych kucharzy zaszedł do sadu.

– Potwierdzam. – Szef kuchni skinął głową.

– Niech no dorwę tego sadownika! – rzekł gniewnie burmistrz Vabrot. – Ale zaraz, przecież to sad Duralda, ale on...

– Nie myli się pan – wtrącił się w rozmowę Smat. – Po śmierci Duralda, gdy jeszcze jego syn był zbyt młody, brzoskwiniami zajął się Drabad, jednak gdy syn dorósł, to on sprawuje tam pieczę. Durko go zwą.

– Niech to – powiedział burmistrz Vabrot.

Osoba burmistrza wzbudzała coraz większe zainteresowanie obecnych na placu. On zaś rozejrzał się dookoła, a następnie jego



spojrzenie powędrowało ku niebu, gdzie przeblyskujące słońce przesunęło się coraz niżej. Nagły ruch na drodze z zachodu przykuł jego wzrok.

– Zrobimy tak – zaczął po namyśle – Smat, pójdziesz do tego Durko. Weź od niego pięć kilogramów brzoskwiń, tyle byś udźwignął. Koniecznie najbardziej soczyste.

Smat pokiwał głową. Mimochodem naciągnął oba rękawy urzędniczej marynarki.

– A z nim później się rozprawię – dodał Vabrot. – Idź już.

– Tak jest – rzekł Smat.

Młody asystent natychmiast ruszył. Niemal zeskoczył ze schodów, po czym przemaszerował przez środek alejki, którą sam wcześniej uformował.

Mijani przez niego Varbarianie bacznie obserwowali sytuację.

– Znowu coś się wydarzyło – powiedziała blondwłosa kobieta, która za rękę trzymała dziewczynkę. – Burmistrz czerwony, że zaraz zapłonie.

– W zeszłym tygodniu puścili Cusitów z torbami, a dziś? Nibracjanie nawet nie przybyli – skomentował starszy mężczyzna z brodą.

– Mam cały magazyn jabłek – powiedział na głos człowiek w ogrodniczkach. – Cusitom nie mogę, Nibracjanie nie chcą. To niech burmistrz je kupi!

Na placu stolicy Varbarii gromadzący się mieszkańcy oraz oficjalny komitet reprezentantów wyczekiwali. Minęła już godzina, w której spodziewano się dotarcia dyplomatów z Nibracji. Tłum, wypełniający szczelnie plac, w coraz bardziej emocjonalny sposób okazywał zniecierpliwienie.

– Durko – powtarzał pod nosem burmistrz. Następnie obrócił się i spojrzał w kierunku najwyższej położonego okna w ratuszu. Widoczna tam przez moment długa sylwetka zaraz zniknęła.



Póki wzrok burmistrza Vabrota mógł sięgnąć go swoim zasięgiem, Smat się nie oszczędzał. Biegiem opuścił plac przed ratuszem, sprytnie mijając zgromadzonych mieszkańców. Przemierzając drogę wśród niskiej, drewnianej zabudowy, wkroczył na szlak zachodni. Z naprzeciwka miały go nowe grupy sadowników i ogrodników. Towarzyszyły im całe rodziny z dziećmi. Wyróżniający się schludnym, urzędniczym ubiorem Smat wzbudzał zainteresowanie.

– Oby wróciły stare, dobre czasy – zagaił starszy siwobrody mężczyzna. – Synu, kiedyś byliśmy tylko my: cztery miasta i wy-starczyło, rozumiesz?

Smat cierpliwie wysłuchiwał natarczywie przekraczającego jego sferę osobistą starca. Do momentu, gdy został chwycony za ramię.

– Proszę się uspokoić – powiedział Smat. – Jestem tylko urzęd-nikiem.

– Tylko urzędnikiem – powtórzył starszy mężczyzna. – Unikacie odpowiedzialności. Po prostu zróbcie co należy. – Natarczywy męż-cyzna spuścił wzrok i odszedł.

Smat obejrzał się jeszcze za nim, gdy ten splótł dłonie za sobą i smętnie kroczył dalej.

– Dzień dobry – powiedział nagle kilkuletni chłopiec, który niósł drewniany lampion.

Smat odpowiedział tym samym, zauważywszy po chwili jego opiekunów, pozdrowił ich skinieniem głowy.

Kroczył tak zmuszany przez wyłaniające się promienie mrużyć oczy. Pagórkowaty teren był wyzwaniem, pokonując go, zaliczył kilka upadków. W końcu przystanął, przysłaniając ręką oczy, bo w od-dali dostrzegł graniczny budynek.



Dokąd tym razem pędzi rudy zwierz? Biegnie niemal na jednym wdechu. Ile sił w łapkach. Wiewióreczka łukiem mija chatę, gdzie nie ma nikogo. Już wydaje się, że upuści orzech, lecz nie, sprytnie poprawiła go łapkami.

Jej oczka ujrzały skrzynię z narzędziami, dobiegła ciekawa, wciąż niuchając przed sobą. Ostrożnie wyjrzała zza narzędzi. Coś dostrzegła. Nagłym susem doskoczyła bliżej i się schowała. Delikatne wychylenie i pełną piersią popędziła w stronę krzaków. To ślad widzianych wcześniej postaci. Trzeba zawrócić do drogi. Za nimi!



VI

Z drugiej strony chaty od frontu olbrzymi sadownik pozostał sam.

– Hejże młody, nie uciekaj – zawołał olbrzym. Pokazał wnętrze lewej dłoni. W drugiej zaś unosił kuszę ku niebu. – Chciałem cię jedynie ostrzec, niesiesz ważne dokumenty i...

Ostatnich słów Ravan nie dosłyszał. Podjął decyzję o odwrocie. Mijał kolejne drzewa pełne matowych, ciemnopomarańczowych owoców. Nie widać było jednak z tego powodu zachwyty na jego twarzy jak poprzednio. Przemykał pomiędzy gałęziami, kierując się do punktu, w którym rozdzielił się z resztą grupy. Nie przystawał. W pośpiechu przekroczył granicę sadu. Stanął na środku ścieżki, obok wielkiego głazu. Cień okolicznych drzew był coraz dłuższy. Bez zastanowienia ruszył wzdłuż płotu na wschód do granicy Varbarii.

Tymczasem Drabad podszedł do wejścia do chaty. Nacisnął klamkę. Uchylone lekko drzwi zaskrzypiały nieco i otwarły na oścież. Mężczyzna uniósł brwi.

– Durko, jest sprawa – zawołał i przekroczył próg. – Nibracjanin chciał się z tobą spotkać, ale... – Nie dokończył.

We wnętrzu hulał wiatr. Poza tym nikt nie odpowiedział.

Drabad podniósł wzrok na prowadzące na górę schody. Nasłuchując chwilę, zdecydował się jednak pozostać na parterze i wejść do pomieszczenia po prawej stronie. Wycelował przed siebie kuszę. Podmuchy w kuchni wprawiały firany w falujący wir. Szybko wrócił do



przedpokoju, skąd zajrzał do salonu, a następnie do drugiego mniejszego pokoju.

– Durko? – nawoływał.

W mniejszym pomieszczeniu na niezaścielonym łóżku leżała sterta ubrań, wśród nich dostrzegł książkę, którą podniósł.

– „Nieznane lądy” – przeczytał i skomentował. – Młody marzyciel.

Ustawił książkę w rzędzie z innymi na wiszącej półce. Następnie opuścił pokój i pędem ruszył na pierwsze piętro. Nawołując bratanika, zajrzał do obu ulokowanych tam pomieszczeń. Nie zastał nikogo. Przed wyjściem jeszcze raz rzucił wzrokiem na stół stojący na tle sadu brzoskwiniowego. Podłużne liście drzew zaszeleściły.

Drabad obszedł dom. Kępy gęstej trawy utrudniały mu przejście. Wzrokiem przeczesał okolicę, nagle przyśpieszył do wypatrzonego kilka metrów dalej przedmiotu, wziął go do ręki i oglądał. Zamyślony przerzucał z ręki do ręki pstrokatą, wielobarwną, uplecioną z grubych nici opaskę.

VII



zybkiem susem zmierzała przed siebie. Z wystawionym do przodu pyszczkiem mijała brzoskwiniowe drzewa w oka mgnieniu. Gdy już się wydawało, że w pędzie zgubiła trop, zwolniła i kic – za pień drzewa. To granica lasu liściastego. Naprzeciw trzy sylwetki szły gęsiego. Na przodzie był on! Przyjaciół wiewiórki. Naprężyła się cała, mocniej chwyciła orzecha. Jedna z ubranych na ciemno postaci pchnęła przyjaciela. Zwierzę wstrząsnęło głową, a oczy przybrały inny, bardziej złowrogi wyraz. Po chwili wszyscy trzej szli dalej. Nie wiedzieli jednak, że są obserwowani.



VIII

 zlak doprowadził Ravana do kolejnego głazu wyznaczającego kierunek. Wokoło pojawiły się drzewa liściaste, a pośród nich wyrastały paprocie miejscowo nachodzące na drogę. Oświetlające go od tyłu słońce sprawiało, że gonił swój długi cień w poszukiwaniu towarzyszy.

Ci zaś przystanęli na niewielkim wzniesieniu, skąd widzieli wybijający się drewniany dach wysokiej budowli.

– Stajemy – oznajmił Bande. – Widać już wieżę strażniczą. Tutaj poczekamy na Ravana. – Spojrzał na młodszego współtowarzysza podróży i kontynuował. – Istotną rzeczą w spotkaniach dyplomatycznych jest to, jak wyglądasz i się zachowujesz. Wpierw więc prezencja. – Podeszedł do Skopke, żeby przyjrzeć mu się z bliska. – Twoja postawa nie jest właściwa – pouczył. – Nie garb się. To wiele zmieni. – Następnie chwycił dwoma palcami za kołnierz młodego Nibracjanina i pociągnął gwałtownie w górę. Siła, z jaką to uczynił, spowodowała, że Skopke stracił na moment równowagę. Bande pociągnął jeszcze za płaszcz z boku i przyklepał z tyłu. Oglądając efekt swojej pracy, uśmiechnął się. – Niech spojrzy na ciebie jakaś varbariańska panna – powiedział. – Naciągnąłem tu i ówdzie, teraz możesz się podobać.

Skopke odpowiedział uśmiechem.

– Pamiętaj, żeby się nie garbić, głowę trzymaj prosto – kontynuował Bande. – Patrz rozmówcy w oczy, ale nie nachalnie.

– Dowodzący przeszedł na przód wózka. Pociągnął za materiał i odsłonił przegródkę, skąd wyjął mały, czarny zeszyt. – Dobrze – powiedział i zaczął analizować otwartą stronę. – Burmistrzem Varbarii jest Vabrot. Jednak najbardziej prestiżowe stanowisko piastuje Matan. Pełni funkcję przewodniczącego rady miasta.

– Poznałeś któregoś? – zapytał Skopke.

Bande czytał kolejne notatki.

– Osobiście nie – rzucił szybko. Nie odrywał przy tym wzroku od zeszytu. – Przewodniczącego Matana niewielu poznało, a Vabrot znany jest ze swoich emocjonalnych reakcji. Trzeba z nim rozmawiać ostrożnie. Mamy przygotowane umowy handlowe, korzystne dla obu stron, jednak jeśli Varbarianie wykażą się niezrozumieniem naszych relacji, mam prawo zakończyć negocjacje.

– Niezrozumieniem? – dopytywał młody Nibracjanin.

– W zeszłym tygodniu odbyły się rozmowy między Varbarią a Cusistanem – wyjaśnił Bande. – Jeśli osiągnęli porozumienie i Varbarianie kupują od nich drewno, znaczy, że liczą na doraźne korzyści. Wtedy nasze drogi się rozejdą.

– Ach – skwitował Skopke.

– Nie martw się – zaczął Bande – trzeba być dobrej myśli. – Zamknął zeszyt i ukrył go w zakamarku wozu. Rozciągnął równomiernie zielony materiał.

Obaj mężczyźni zamyśleni spoglądali w kierunku, skąd przybyli.



IX

Upodnóża wieży strażniczej stało dwóch mężczyzn w szarych mundurach. Jeden prowadził burzliwy monolog, drugi zaś mu przytakiwał.

– Działo się to w Varbarii Górnej, nie tu, o nie. – Smat usłyszał fragment opowieści. – Jednak mogą być wszędzie. Wszędzie, mówię.

– Ilu ich jest? – zapytał słuchacz.

– Ha, dobrze, że pytasz, Mok! – odparł wyższy rangą strażnik. – Z moich źródeł, to znaczy od znajomych sadowników, wiem, że szli we trzech. Trzech! Albo dwóch? Nieważne!

Strażnicy ukradkiem spojrzeli na zbliżającego się Smata.

– Ale nie chodzą głównymi traktami, o nie! – kontynuował starszy strażnik. – Przemierzają Varbarię na wskroś. Przez lasy, a nawet prywatne sady. Wychodzą znienacka i bęc! Ot tak.

Smat się skrzywił.

– Witam, wielmożnego pana urzędnika – rzekł starszy stopniem strażnik.

– Witam, panów z Gwardii Varbariańskiej – odpowiedział Smat i podał rękę obu strażnikom.

Młody urzędnik spojrzał w górę wieży. Dojrzawszy tam wychylającego się trzeciego strażnika, skinął mu głową.

– Czy to oficjalna wizytacja z ratusza, hę? – chciał wiedzieć dowódca straży.

– Panie...

– Sierżancie Lag – dokończył za niego dowódca straży. – O tak, tak należałoby się do mnie zwracać.

– Zatem... Sierżancie Lag – kontynuował Smat. – Moja misja sięga poza tę wieżę. Przypadkiem usłyszałem... Czy panowie rozmawiali o naszych gościach? Czekamy na nich, a mnie w międzyczasie wysłano na ziemię Durko.

– To znaczy, sad Duralda – dodał Smat.

Dostrzegł bowiem zdziwioną minę sierżanta Laga.

– Oficjalny raport z zachodniej granicy złożę jutro, ot co – powiedział sierżant Lag. – Mogę zdradzić, że chodzi o grupę szabrującą sady. Dopuścili się również kradzieży i gróźb.

– Zaraz, zaraz – wyrwało się Smatowi – Nibracjanie mieli pojawić się dziś po południu w Varbarii. Z tym, że nie są uzbrojeni, to misja dyplomatyczna.

– Nibracjanie? A tak! – odparł sierżant Lag. – Przypominam sobie. Ha! To może być ślad. Należy zatrzymać wszystkich o rodowdzie nibracjańskim, zrozumiano?

Strażnik Mok przytaknął.

– Nie mówię, że to oni! – zaznaczył Smat. – Na pewno nie. Mówię tylko, że trzyosobowa delegacja z Nibracji zmierza na spotkanie w ratuszu i miała dotrzeć tu dziś wieczór. Nie ma ich jednak do tej pory. Warto byłoby zapewnić im bezpieczne dotarcie.

– Od tego jesteśmy, panie urzędniku – powiedział sierżant Lag. Zamrugnął jednym okiem.

– Muszę już iść – oznajmił Smat. – Jeśli szybko nie wrócę z brzo-skwiniami, burmistrz mnie zabije.

– Trzech nibracjańskich dyplomatów do sprawdzenia – wydał polecenie sierżant Lag. Wpatrywał się przymrużonymi oczami w oddalającą się postać młodego urzędnika.



– To dużo jak na dziś, o tak – rzekł po chwili sierżant. – Bandyci, dyplomaci. I to wszystko na naszej zachodniej granicy. To też próba! Sprostamy temu strażnikowi, Mok! – Strażnikowi Zak! – krzyknął sierżant Lag. Głowę skierował w górę wieży. – Zejdź tu natychmiast!

– Co się dzieje, sierżancie? – zapytał stojący obok Mok.

Tymczasem strażnik znajdujący się na punkcie obserwacyjnym potwierdził rychłą realizację rozkazu.

– Twój młodszy partner uda się do miasta – rzekł sierżant Lag.

– Burmistrz Vabrot powinien wiedzieć o wszystkim. Napady nie zdarzają się często. Powinni...

– Ja pójdę sierżancie – wtrącił szybko Mok.

– Ty? – zapytał przełożony. – Jesteś starszym stopniem niż Zak i...

– Do tego potrzeba kogoś z większym doświadczeniem – dopowiedział Mok.

Sierżant Lag przeciągnął włosy za ucho, gdy ktoś za ich plecami otworzył skrzypiące drzwi. W progu stanął Zak.

– Jestem, sierżancie – oznajmił.

– Nieważne już – odparł dowódca. – Zostajesz ze mną w strażnicy, a Mok wyrusza do miasta z misją.



X

Trzech piechurów zrobiło postój. Nie spuszczała z nich oka, ukryta za pieńkiem. Wiewiórka obserwowała dwóch mężczyzn stojących za krzakiem. Lekko zgarbieni, jakby przyczajeni. Jej przyjaciel pozostał nieco z tyłu. Zwierzę wykorzystało moment i dało susa na najbliższe drzewo. Co teraz? Słuchać dźwięk. Ktoś nieświadomy niebezpieczeństwa zbliżał się szlakiem.

Ruda główka wychyliła się, dzięki czemu lepiej widziała główną drogę. Dostrzegła wątego mężczyznę w ogrodniczkach ciągnącego wózek z narzędziami i drabiną.

Ciemne postaci wyskoczyły z ukrycia z krzykiem. Dwóch rychło powaliło jednego.

Jej przyjaciel wciąż siedział przy drzewie. Dlaczego nie uciekał? Wiewiórka podjęła ryzyko, minęła kolejne drzewka młodego lasu i przeskakując slalomem, stanęła przed nim. Zaabsorbowany sytuacją na drodze nie dostrzegł zwierzątka.

Zawszad słysząc pokrzykiwania i jęki bólu.

Wiewiórka podskoczyła, czym zwróciła uwagę młodego mężczyzny.

– Co tu robisz? – zapytał Durko.

Dopiero teraz spostrzegła, że ręce przyjaciela są związane, nogi zaś przytwierdzone do pnia. Zwierzę instynktownie ruszyło, doskoczyło do niego, wypłuło orzeszka i przegryzło węzeł. Poszło gładko. Teraz drugi – susem po spodniach, kic, na ramię i po rękawie w dół.



Kolejny węzeł poszedł. Hop, na ziemię po orzeszka. Odbiegła, jakby wskazywała drogę. Biegnijmy – chciałyby powiedzieć.

– W drogę! – rzekł Durko.

Przyjaciel zebrał się do biegu. Ruszyli, a zza krzaków coraz wyraźniej słyszeć rozmowę zbirów. Wracają! Wiewiórka się obejrzała. Zobaczyła, jak niosą drabinę i niewielką sakiewkę. W miejscu, gdzie zostawili związanego, porwanego młodzieńca, zastali jedynie strępy sznura. Uciekinier wraz z wiewiórką byli już poza zasięgiem ich wzroku, słyszeli tylko echo nawołującego okrzyku. Nic to. Trzeba zwiewać. Ocalić siebie i ostrzec innych.



XI

oprawdy, Skopke, musisz się tego nauczyć – powiedział Bande, po czym wykonał pokłon głową z prawą dłonią ułożoną na klatce piersiowej. – Spójrz, wygląda oficjalnie – kontynuował.

– Wyraża szacunek. Zastosujesz to na spotkaniu z burmistrzem.

Młody Nibracjanin spróbował powtórzyć gest.

– Dobrze – ocenił Bande. – Ale nie musisz aż tak nisko opuszczać głowy. Niech nie pomyśli, że jesteś jego sługą. Jak mówiłem, to ma być oznaka szacunku.

Skopke jeszcze kilkakrotnie powtórzył ukłon.

– Jeśli się nie mylę, ktoś nadchodzi od strony wieży granicznej – powiedział Bande. – Przerwij już te ukłony i wyciągnij list żelazny.

Młody asystent zbliżył się do wózka i chwycił zielone pasmo materiału. Zamachem odsłonił jego skrawek. Sięgnął do jednej z szuflad, po czym pociągnął za wystającą rączkę. Wyciągnął drewnianą szkatułkę i położył na równej powierzchni, nieodsłoniętej części bagażu. Przesunął kciukiem niewielką zasuwkę u jej dolnej krawędzi wierzchniej przykrywki.

– Może jeszcze pieczęć naszego gremium reprezentantów – dodał Bande.

Po odblokowaniu Skopke swobodnie wyjął żłobioną deskę, a z wnętrza skrytki dobył rulon. Bande natychmiast przechwycił dokument.

– Pomogę ci – powiedział. Rozciągnął zawinięty papier. – Zgadza się – oznajmił. – Mamy tu potwierdzenie naszej misji, a tu pieczęć z herbem.



– Czemu nie trzymamy w skrytce wszystkich dokumentów? – zapytał Skopke. – Ravan nie musiałby nosić ich w płaszczu.

– Ach, dobrze, że pytasz – odparł dowódca. – Widzisz, wbrew pozorom nasza praca jest niebezpieczna. Są ludzie, którzy mogą chcieć pokrzyżować nam plany albo możemy trafić na zwykłych złoczyńców. Różne są koleje losu. Nie wolno nam nosić ważnych dokumentów i pieniędzy w jednym miejscu. Zmniejszamy w ten sposób ryzyko utraty wszystkich naraz.

– Rozumiem – potwierdził Skopke. Pokiwał głową. – Jeśli Ravan zgubi umowy, będziemy mieli przepustki, a jeśli my zgubimy przepustki, Ravanowi pozostaną umowy – kontynuował. – Chyba że zdarzą się dwa nieszczęścia naraz.

– Nie gadaj głupot. – Bande przystopował podwładnego. – To są środki bezpieczeństwa. Naszym zadaniem jest wykonać wszystko, jak należy, bez względu na okoliczności.

Hulający po okolicznych pagórkach wiatr nabrał rozpędu. Jeden ze ślepo lecących liści, z szeleszczących przydrożnych drzew, uderzył w twarz Skopke.

– Auć – zareagował z uśmiechem. – Dostałem.

– Co? – spytał nieco zamyślony Bande. – Co mówiłeś? – Dowódca Nibracjan śledził jednocześnie ruch zbliżającego się od wschodu piechura.

– Nic, wszystko w porządku – odpowiedział Skopke.

Młody Nibracjanin zamknął szkatułkę i odłożył ją do szuflady, którą zabezpieczył jak poprzednio. Rulonem zaopiekował się dowódca, chowając go w kieszeni.

– Hej, jesteście, całe szczęście – powiedział młodzieniec w zielonym płaszczu.

Ukradkiem zaszedł Nibracjan od zachodu.

XII

iężkie kroki Drabada zostawiały dużych rozmiarów ślady na podmokłym podłożu dookoła chaty. Okrążył ją, wychodząc ponownie na plac przed gankiem. Między palcami przepłatał znalezioną kolorową opaskę. Kuszę, którą dzierżył w drugiej ręce, oparł o bark. Wszedł w głąb sadu brzoskwiniowego, mijał kolejne rzędy drzew, aż dotarł do głównego szlaku z głazami, otworzył furtkę i opuścił sad.

Nieopodal natknął się na nieprzytomnego mężczyznę, obok którego stał wózek.

– Co się stało? – zapytał, próbował cucić leżącego. – Żyjesz, ogrodniku?

Bez odpowiedzi. Mężczyzna leżał na plecach i wił się na boki, żeby się podnieść. Drabad zatrzymał wzrok na jego posiniaczonej i pokrwawionej twarzy, zerknął na półotwarte oczy, w końcu chwycił go za ramię i podciągnął w górę.

– Ledwo żyjesz, chłopie – rzekł olbrzym.

Ogrodnik jęknął. Postawiony do pionu próbował zostać w pionie na drżących nogach, lecz to za każdym razem kończyło się fiaskiem. Drabad musiał oprzeć go o drewniany wózek.

– Spokojnie, bez pośpiechu – powiedział olbrzym. – Zbierz myśli i powiedz, co się stało. – Drabad obejrzał się na boki.

Zza krzaków dochodził dźwięk łamanych gałęzi. Olbrzym obrócił całe swoje ogromne ciało w stronę źródła hałasu. Ogrodnik zaczął



głośniej pojękiwać, co odwróciło na moment jego uwagę. Po chwili ponownie skupił się na krzakach. Narastający mrok uniemożliwiał mu dobrą widoczność, mimo to szedł dalej powoli. Drabad zmrużył oczy, zatrzymał się i wymierzył z kuszy.

– Wyjdź albo cię postrzelę! – zabrzmiał niski głos olbrzymiego sadownika.

Zapanowała cisza. Zamilkł również kwiczący ogrodnik. Drabad postawił kilka kroków do przodu. Wyczekiwał. Krok dalej. I jeszcze jeden. A jednak! Aż dwie ciemne sylwetki rzuciły się do ucieczki. Płot opleciony żywopłotem stanął na przeszkodzie Drabadowi i utrudnił przedostanie się i drogę pościgu.

– O wy, zbójce! – zagrział. Dopowiedział niejedno przekleństwo, wbijając jedną nogę w krzaki ponad zagrodę. Unieruchomiony spojrział na uciekających mężczyzn. – Niech to! – wykrzyknął do siebie.

Przymrużył jedno oko, wymierzył z kuszy i strzelił. W ułamku sekundy odniósł dwa triumfy – ustrzelił przeciwnika i przebrnął obiema nogami przez przeszkodę. Grot musnął mężczyznę w bok brzucha, przebił czarną marynarkę i wbił się w drzewo brzoskwińowe. Po chwilowym oszołomieniu i utracie równowagi trafiony szarpnął, rozerwał ubranie, ale został w miejscu. Chwycił się za ramię i osunął na ziemię. Drugi intruz zatrzymał się i próbował pociągnąć za sobą kompana. Tymczasem Drabad sprawnym ruchem nabijał kolejny bełt na kuszę. Ocalały mężczyzna ruszył więc biegiem przed siebie.

– Niech ucieka – rzekł Drabad i opuścił kuszę. – Narobi nam właściwej renomy. – Następnie nacisnął stopą skuloną na ziemi postać. Ta z grymasem bólu zamachała ręką pokrytą czerwoną cieczą. – Ożeż ty! – warknął i obejrzał opaskę znaną przed chatą. Porównał ją z tą na nadgarstku mężczyzny. – Są identyczne! – dodał po chwili. – To znaczy, że byliście na naszej ziemi! I mówże, gdzie

jest Durko! – Obrócił kuszę i przyłożył jej drewniane ramię do klatki piersiowej ofiary. Nacisnął z impetem.

Leżący mężczyzna bezskutecznie próbował się wyswobodzić. Ścisnął szczękę i wydał niezrozumiały, rozpaczliwy dźwięk. Drabad odpuścił, schylił się i chwycił go za poję od żakietu. Przytrzymując cały czas stopą, rozerwał ją z ogromną siłą. Z jednej z wewnętrznych kieszeni wyciągnął niewielki skórzany portfel. Drabad przekręcił głowę, próbując przeczytać wygrawerowany napis.

– Segv – zacytował. W największej przegródce znalazł banknot o nominale 7 maarów, w mniejszej zaś dokument. Zbliżył do twarzy, marszcząc się. – „Dokument wydany przez Wielką Radę Maregaardu”, niech to, Cusici! – powiedział Drabad. Obejrzał blankiet dokładnie z obu stron. Przetarł kciukiem znajdujący się w prawym górnym rogu wypukły znak graficzny o symbolu „M”.

– Panie Segv Del Dor – rzekł olbrzymi sadownik. – Już ja się tobą zajmę. Będziesz śpiewał wszystko, co wiesz, jak młody wróbel. – Schował zawartość portfela do własnej kieszonki na brzuchu. Następnie chwycił cusickiego zbira za zdrową rękę i ciągnął za sobą.

Nierówna powierzchnia ściółki sprawiała, że jego głowa co rusz podskakiwała. Drabad dowlekl Cusitę do krzaków, a potem kolejne kilkanaście metrów wzdłuż nich, aż do furtki prowadzącej do sadu. Przeciągnął go między drewnianymi słupkami tworzącymi wejście.

– Dość – powiedział olbrzym. – Leż tu.

Cusita zdawał się nie kontaktować z rzeczywistością. Tymczasem Drabad obrócił się i spojrzał w dal ścieżki, gdzie pozostawił ranne go ogrodnika. Ten opierając się o wózek, starał się ustać na nogach. Spojrzał na olbrzyma, układającego ciemnego osobnika do pozycji siedzącej. Oczy ogrodnika się rozszerzyły, a twarz zastygła w grymasie i wyciągnął palec wskazujący.



– To on! – wykrzyczał ogrodnik. – To on mnie pobił. Jeszcze był drugi.

– Tak, tak, wiem – przytaknął Drabad. – Drugi zwał. To Cusici.

Kulejąc i garbiąc się, ogrodnik podszedł wolnym krokiem.

– Z Cusistanu? – powiedział. – To niedobrze.

– Dla nich niedobrze, że tu trafili – przyznał Drabad. – Pożalują tego i każdy Cusita, który przejdzie koło sadu.

Ogrodnik stał przy rozwartej na oścież furtce, na której oparł rękę, łapiąc równowagę. Na posiniaczonej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Ech. – Ogrodnik głośno sapnął. – Niedobrze. Przed tygodniem delegacja Cusitów przybyła do miasta, żeby podpisać umowę handlową na zakup naszych zbiorów, w tym moich warzyw. Obłowiłbym się, mówię, panu. – Zmienił rękę, na której się opierał. – Przez rok miałbym pewny zbytny na kapustę i marchew – dodał.

Drabad podrapał się po głowie i spojrzał na równomiernie oddychającego mężczyznę, oczy miał przymknięte, a głowę luźno opierał o płot.

– Moje brzoskwinie też by wzięli? – zastanawiał się Drabad i po chwili dodał: – Co tam brzoskwinie, oni byli na naszej rodzinnej ziemi samowolnie, a mój bratanek tajemniczo zniknął.

– Dziwne to wszystko – rzekł ogrodnik, nie słuchając. – Jednak umów nie podpisano. Ponoć Matan jest przeciw, bo to wbrew zasadom.

Drabad szturchnął nogą Cusitę.

– Miał ze sobą dokumenty – powiedział sadownik. – Na moje oko dyplomaci odeszli, a przybyli bandyci. Jak ten tutaj.

Ogrodnik opuszkami palców dotknął posiniaczone miejsca na nogach i tułowiu.

– Jan jestem – przedstawił się po chwili. – Z górnej Varbarii.

– Drabad, sadownik – odparł olbrzym. – Z Varbarii Zachodniej.

– Dasz radę dojść do miasta? – zapytał Drabad. – Tam opatrzone by cię.

– Dopiero stamtąd wracam – powiedział Jan. – Odwrócił się, uciekając przed spojrzeniem sadownika. – Cała okolica żyje tym, co się tam dzieje – kontynuował. – Na placu ludzie czekają na przybycie Nibracjan. Widziałem. Dlatego Cusici chodzą po okolicy bez przeszkód. Ale trafili na mnie. I prawdopodobnie na twojego...

– Na pewno jest tam moja żona Ladia – rzekł Drabad. – Pracuje jako krawcowa w mieście. Czasem zostaje tam na noc. Dziś została. Ty podobnie jak ja też nie uczestniczysz w przygotowaniach do powitania.

– Cieszę się z naszej przyjaźni z Nibracją, ale co mi z tego, jak oni nie kupią moich zbiorów w dużych ilościach. Cusistan to co innego. Ich kontakty za morzem to nieskończone możliwości.

– A nasza wyspa? – zapytał Drabad. – Cztery miasta, system idealny. Każdy zaopatruje się nawzajem. Razem jesteśmy samowystarczalni. Nasze owoce i warzywa goszczą na stołach i Cusitów, i Daeretów, i Nibracjan.

– Toż to utopia! – podniósł głos Jan i złapał się za obolałe miejsca. – To legendy – kontynuował. – Tak się nie dzieje teraz. Przez to stoimy w miejscu. Wystarczy, że jeden się wyłamie z układu, a reszta traci.

– Właśnie tak! Czy to nie Cusici wyłamują się przez swoje kontakty zamorskie? – dociekał Drabad.

– Ach – westchnął Jan. – Postęp wymaga poświęceń. Nasi władarze muszą zdecydować. Postawić na dobrobyt Varbarii czy tkwienie w marazmie starych sojuszy i przestarzałych zasad.

Cusita zajęczał.

– Dość tych rozmów – powiedział Drabad. – Trzeba zająć się tym łałchmytą. Przełożył kuszę na plecy. Następnie złapał za górną część ubioru oraz splecione nogi Cusity i uniósł go lekko ponad głowę. Obrócił się i skierował do kołowego bagażnika.

Jan zerwał się na obolałe nogi.



– Zabiorę narzędzia – rzekł ogrodnik.

Drabad rzucił nieprzytomnego mężczyznę na wóz. Cusita, spadając, niefortunnie uderzył się w ranny bok, jęczał i nerwowo mrugał oczami.

– Wielmożny Del Dor się budzi – zarechotał Drabad i wyciągnął spod szelek liny. – To może nam się przydać – dodał po chwili. – Zwiążemy cię, kolego, żebyś nie uciekł.

Cusita poruszył się, jednak wciąż nie reagował na bezpośrednie bodźce.

Dawka promieni słonecznych przedarła się przez korony drzew i oświeciła twarze Drabada i Jana. Ogródnik pomógł rozciągnąć sznur, po czym przytrzymał jedną z końcówek. Olbrzym zaś zręcznie obwiązywał wózek, tworząc węzeł.

– Jestem pod wrażeniem – pochwalił Jan. – Auć!

Chwila zapomnienia kosztowała ogrodnika bólem uszkodzonej w ataku nogi.

– Warto znać tę sztukę – powiedział olbrzym. – Przydaje się w sadzie. To węzeł knagowy, poznałem za młodu, żeglując. – Przechwycił koniec liny od Jana, napiął całą, przez co ta mocno wpięła się w ciemne ubranie Cusity.

– Patrzcie go! – Drabad podniósł głos. – Jak grymasi!

Sadownik począł przewijać, nawijać i zaciskać linę od nowa.

– A ten węzeł jest inny – stwierdził ogrodnik. – Jak się nazywa?

– Varbariański – odparł Drabad. Jednocześnie mrugnął okiem w stronę zadającego pytanie.

– Nie znałem go – przyznał Jan.

– Sam go wymyśliłem – odpowiedział Drabad – właśnie teraz.

Jan się skrzywił, nic nie mówiąc.

– Dobrze. – Drabad poklepał się w dłonie. – Idźmy do ratusza – powiedział. – Czas odprowadzić naszego jeńca na przesłuchanie, a ciebie ogrodniku do szpitala.

Sadownik poprawił drabinę, wystającą z wózka, powodując nie-naturalne wygięcie nogi Cusity. Mężczyzna się wzdrygnął, uniósł kolano, po czym bezwiednie nim zarzucił, co rozśmieszyło Drabada. Z doskoku złapał rączkę wózka i zaczął pchać. Obok ze schyloną głową kuśtykał ogrodnik Jan, włożył ręce do głębokich bocznych kieszeni zielonego kombinezonu.

– Moja sakwa! – zawołał nagle ogrodnik.

– Duża była jej wartość?

– Pół warsa – odparł.

Jednocześnie dał znać ręką, żeby się nie przejmować.

Tymczasem zamyślony wzrok Drabada powędrował ku górze. Na ciemniejącym z każdą chwilą niebie przebijały się pierwsze najmocniej świecące gwiazdy.

Zmierzali szlakiem na wschód, a wyznaczały go głązy ustawione tak gęsto, aby nie pomylić kierunku.

